№ 4.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1846. Poznań, dnia 23. Lutego.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedplata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Niemasz wątpliwości, że sprawiedliwość, moralność są odwieczne i zawsze w stanie jednakowym; ale z drugiéj strony trudno zaprzeczyć, że zapatrujemy się na nie tak rozmaicie, iż co nam dzisiaj sprawiedliwością i moralném się zdaje, jutro znowu wcale inną przybiera postać. Mamy prawda zasady religijne, n. p. kochaj bliźniego swego, jak siebie samego, które wytykają drogę do wszelkiego postępowania, z tém wszystkiém przychodzą kwestye tak niby obojętne, że na pierwszy rzut oka mało kto umie do nich tę zasadę zastósować, a tymczasem pokaże się, że właśnie w tych kwestyach najbardziéj ją stósować należało. Niedawno temu, wołano naprzód w ekonomii politycznéj, że nic nie jest zbawienniejszego, jak konkurencya, czyli, wyrażając się czyściejszym językiem, współubieganie; przez nią bowiem kupiec nie przedraża towarów, zaprzestaje na pomiernéj korzyści, robi swe towary, a ztąd wygody życia dostępniejszemi dla ubogiego ludu, podnosi zgoła człowieczeństwo; te same dobre skutki na drodze współubiegania, toczą się od rólnika, fabrykanta, warsztatu rzemieślniczego i od rąk wyrobnika. Nareszcie spółubieganie na drodze handlowéj i przemysłowéj całych narodów, niesłychane objawiają się korzyści. Handel północno-amerykański, dopókąd tylko był w ręku Anglików, nie przysługiwał się tyle Europie, ile to czyni dzisiaj, kiedy go z nimi podzielają Stany Zjednoczone. Ta zasada spółubiegania niepozostała jedynie na drodze handlu i przemysłu, ale weszła nawet w sferę wyższą domową: ogłaszano pytania filozoficzne, i za ich rozwiązanie wyznaczano nagrody nietylko w medalach, ale i summach pieniężnych; katedry uniwersyteckie osadzano w skutek wygranego pierwszeństwa przez rozprawę, po szkołach między uczniami zaprowadzano popisywanie się przez osięganie pierwszeństwa przed drugimi. Trudno przeczyć, iż na drodze spółubiegania niejedna podniosła się gałąź działalności ludzkiéj, ale to także rzeczą pewną, że egoizm coraz bardziéj podsycano; nikt bowiem niepytał się o drugiego, ale każdy tylko o siebie. Spółubieganie powołało każdego człowieka pojedyńczo do walki przeciw drugim wszystkim; spółubieganie nadwerężyło więc bardziéj zasadę miłości bliźniego, niż ją nadweręża chęć kradzieży, bo ta tylko ludzi bezwstydnych stawia w sprzeczności z drugimi, kiedy spółubieganie postawiało i najzacniejszych i zgoła wszystkich. Cóż tego dzisiaj są za skutki, oto bogactwo kupi się do bogactwa, a nędza do nędzy. Powzrastały wielkie banki, stowarzyszenia żelaznych kolei, zarobki po kilkakroć sto tysięcy talarów przez dwadzieścia cztery godzin; ale za to mnoży się codzień więcéj ludzi, którzy żyją z dnia na dzień, których ciemnota gniecie, a głód śmiercią zagraża, i wszystko to stało się w skutek zasady spółubiegania prawdziwie niechrześciańskiéj, która wyraźnie ludzi rozdziela na indywidua, kiedy ich przeznaczeniem być braćmi i uchodzić za jednę rodzinę.

ORYL.

Powieść Leona K.

(Dokończenie.)

III.

Przeleciał Lipiec, i Sierpień zmierzał już do końca. Władysław, choć z dawno zagojoną ręką, nieopuszczał Wysokiéj. Robił niedalekie wycieczki do ruin zamku Czerskiego, lub w poblizkie okolice, zawsze jednak znowu powracał. I jakże niebyło wrócić, kiedy pan Linoski, który serdecznie polubił młodzieńca, za każdą razą mówił:

— Zostań jeszcze dni parę, jak się zagrzebiesz w miejskich murach, to cię znów długo nie zobaczymy.

Kiedy przy każdém słowie o odjeździe, widział dwoje ślicznych oczu Anielki zwróconych ku sobie z tak tęsknym wyrazem. I Władysław zostawał, aby żyć znowu pełném uroku życiem wiejskiém przy muzyce, przy Anielce!....

Są istoty, które widząc razem, przychodzi uwierzyć w tę tajną sympatyę dusz, o któréj tyle piszą poeci; — zdaje się, że jest jakiś związek, co zbliża z sobą dusze pokrewne uczuciami.

Władysław z Anielką prędko się zrozumieli. — Zapał do wszystkiego co piękne, wzniosłe, gorąca miłość ludu zbliżyły do siebie te dwie dusze tak czyste, tak młodziencze.

Aniela była jedną z tych istot niewinnych, prostych, które przeniesione na świat, nie mogą się włożyć w jego zwyczaje, ale zostawione w zaciszu, wydają woń i kwitną jak kwiaty. Natura wlała w nie ideał, i to im wystarcza; od ludzi już nic nie mogą się nauczyć, zdają się być stworzone do tego idealnego świata, który sobie tworzymy w naszych marzeniach; nie znaja złego, bo nie są zdolne wyobrazić go sobie — ich duch otoczony jakby mglistym obłokiem — takie istoty żyją tylko sercem, poezyą, natchnieniem.

Dusza Władysława wielkie miała podobieństwo z usposobieniem młodéj dziewicy, — i on także był pełen zapału i tych rojeń na wpół dziecinnych. W roku 15. nie znając jeszcze świata, zaczął go nienawidzieć instynktowo, marzył o tém, aby zamieszkać pustynię, potém widząc, że w pustyni mieszkać niepodobna, poprzysiągł sobie, że między ludźmi będzie wiódł szczególne życie i wyda wojnę wszystkim przesądom świata. Później trochę doświadczenia, ukołysało tę exaltowaną duszę. Z swojém usposobieniem ognistém i do poświęceń zdolném, rychło poznał, że mu obrać trzeba drogę, co wśród cierni prowadzi.... drogę poświęcenia i czynu. Teraz zaświeciło młodemu jego sercu nieznane dotąd uczucie, — Władysław pojął od razu siedmioletnią duszę Anielki, ona tak odpowiadała ideałowi kobiety, którą stworzył sobie w swéj młodzieńczéj wyobraźni.

Nie wyznając sobie swych uczuć, przebyli całe dzieje pierwszéj czystéj miłości, dzieje wypisane uśmiechem i łzami, przeszli tę febrę moralną, co się składa z wielkich rozkoszy i wielkich boleści. Nieraz przy fortepianie dusze ich zbliżały się do siebie śród akordów cudnéj harmonii — muzyka tak jedna, tak ośmiela dwa serca co się kochają — nieraz wyraża nasze najskrytsze myśli, najgłębsze uczucia — dla kochanków muzyka tak dobrym tłómaczem! Im tak słodkie płynęły chwile o szaréj godzinie przy dźwiękach Serenady Szuberta, lub czarującéj melodyi fantazyi Bethovena.

Często w chaty wieśniacze nieśli wspólnie pociechę, dobrém słowem, poradą — i słyszeli za sobą błogosławieństwa, co ich imiona razem łączyły.

Jednego dnia już w końcu Sierpnia, przyszedł do Władysława list z Warszawy, po przeczytaniu go, znać było w twarzy młodzieńca jakąś zmianę. Wieczorem Anielka słyszała, jak na wpółcicho mówił z ojcem o uwięzieniach w Warszawie, o potrzebie odjazdu. — Serce dziewicy biło z niespokojności i obawy, któréj sama sobie wytłómaczyć nie umiała. Władysław wyraźnie cały wieczór był smutny — przy fortepianie roztargniony i małomówiący — a kiedy mówił dobranoc, Aniela tak szczególny wyraz znalazła w jego oczach, że mimowolnie zadrżała.

Władysław nie poszedł do swego pokoju, bo nie był w stanie udać się na spoczynek, widział konieczność odjazdu, rozłączenia się, a ta myśl, którą dzień po dniu oddalał od siebie, stanęła teraz przed nim ze wszystkiém, co miała okropnego w sobie.

Noc letnia cicha zstąpiła ze wszystkiemi powabami na ziemię, gwiazdy lekko drgały w obłokach, i księżyc, który niby w jakiéjś harmonii z uczuciami ludzkiemi weszedł blady, drzący. — Władysław chodził po ogrodzie, lecz tą razą nie podzielał uroku rozlanego około siebie. Czasami tylko zatrzymując się, patrzał ku oknu, co przysłonięte firanką, wychodziło na ogród. Wtém parę cichych akordów znanéj mu fantazyi Bethowena doleciało do jego ucha — zbliżył się instynktowo — melodya stawała się wyraźniejszą i śród ciszy nocnéj płynęła ta czarująca harmonia, tak podobna do westchnień, tęsknoty i rozpaczy. Młodzieniec nie mógł się oprzeć, postąpił do okna i spojrzał w pokój ciekawém okiem. Przy fortepianie siedziała Anielka

z głową spuszczoną ku piersiom, ze łzami w oczach, oświetlona bladym promieniem księżyca, który twarzy nadaje tyle uroku. — Władysław patrzał z zachwyceniem w tę twarz tak anielsko piękną i westchnął.

Dziewica podniosła głowę — księżyc oświecił w jéj oczach dwie perły łez, — lekko krzyknęła — wstała — już była przy oknie — odsunęła rączką firankę, i Władysław ujrzał tuż naprzeciw siebie tę twarz ukochaną.

— Anielko! aniele!...i

— Ty nas chcesz porzucić, nieprawda....

— Boże! ja muszę .... i głos mu urwał się w piersiach.

Łzy wielkie brylantowe jedna po drugiéj występowały w jéj oczach i staczały się po bladém licu.

— Ale wrócisz niedługo?...

— Wrócę, wrócę — mówił młodzieniec — czyżbym ja mógł żyć bez ciebie Anielko, ja cię tak.... kocham.....

Dziewica pierwszy raz słyszała to wyznanie, lecz na jéj twarzy nie widać było zdziwienia, dawniéj wiedziała o tém, co słyszała teraz. — Władysław patrzał w te oczy tak piękne, łzawe — pukiel pięknych jéj włosów dotknął jego skroni, czoła schyliły się ku sobie i nastąpiło milczenie. Wszystko co ich otaczało — niedalekie rozłączenie — świat cały poszedł w niepamięć — dla nich była to chwila niebiańskiego szczęścia — chwila, jakich dwóch niema w życiu — cóż dziwnego, że zapomnieli w téj chwili, że na niebie życia, które dla nich było tak czyste, mogą się zebrać chmury z grzmotami i piorunem!

IV.

Nazajutrz słońce już było dosyć wysoko na niebie i bydło ryczało pędzone na paszę — powstawał ten ruch, który co rano budzi wieś z cichego nocnego uśpienia.

Drogą prowadzącą do wioski, postępowało kilku chłopów w białych koszulach i słomianych kapeluszach. Na przodzie szedł jeden spieszniéj, zostawując towarzyszy za sobą; — już minął kościół i cmentarz i do wsi wchodził. — We drzwiach chałupy stanęła dziewucha w gorsecie, w koralach, świeża, rumiana i klaszcząc w ręce, wybiegła naprzeciw Orylowi.

Nastąpił uścisk krótki, serdeczny.

— No jak się masz? — pytał Jędrzéj, patrząc w rumianą twarz dziewczyny.

— Zdrowo, Bogu dzięki — a ty, czy szczęśliwą miałeś drogę?

— Nie źle mi się wiodło, tylkom się niecierpliwił i frasował o ciebie.

Rozmawiając, wypytując się, Oryl oddał dziewczynie korale i pierścionek, przywiezione jako gościniec z podróży.

— Cóż słychać we dworze — pan i panienka zdrowi?

— Zdrów pan i panienka — nic nowego nie słychać, tylko dziś skoro świt, przyjechało do wsi dwóch żandarmów z kozakami i pojechali ku dworowi.

— A ich po co tu diabeł przyniósł, przecie nasz pan podatki płaci.

— Mówią — dodała dziewczyna — że oni tego panicza szukają, co to tu po Śtym Janie przyszedł — ten, co to mnie z ognia wyratował, pamiętasz?

— Jak nie mam pamiętać — mój Boże, takiego dobrego panicza! — nasłuchał ja się teraz wiela od ludzi — bo i tego pana w Kamieniu podobno wzięli, niewiada za co — i precz tak niewinnych ludzi wybierają.

I zostawiwszy Kasię, zbliżał się do dworskiego podwórza.

Przed gankiem stało konno kilku kozaków, na ganku między dwoma żandarmami stał Władysław blady, zmieniony oficer mówił z panem Linowskim, stojącym we drzwiach, a w sieni z ponad ramion ojca, patrzyła blada twarz Anielki z rozpuszczonym włosem, z wyrazem najwyższéj rozpaczy.

— Mamy — mówił oficer — rozkaz, dostawienia natychmiast do Warszawy pana Władysława K.; tu jest polecenie, abyś pan dał podwodę do najbliższego miasta.

Pan Linoski próbował prosić, przedstawiać — oficer tylko uśmiechnął się gburowato.

Pod tę chwilę zbliżył się Jędrzéj do ganku i patrzał z pod oka na sołdatów. — Oglądał się wkoło i kiwnął na karbowego, co stał w blizkości. — Walenty, wie Walenty co, — ja mówię, żeby można zwołać wiarę we wsi, tobyśmy odbili tego panicza, bo widzi Bóg, serce boli, że to niebożątko tak niewinnie ma cierpieć. — Walenty podrapał się, zatarł ręce — to znaczyło, że na wpół się zgadzał.

Tymczasem wóz nadjechał przed ganek — jednocześnie rozległ się krzyk w sieni i coś upadło na ziemię. — Władysław postąpił krok i uderzył piersiami w koniec bagnetu. — Pan Linoski pobiegł ratować córkę.

Oficer wyszedł przede dwór. — Rozpędzić tam tych chamów, zawołał — pokazując na dwóch czy trzech dworskich co stali opodal. — Kozacy krzycząc: paszoł, paszoł, zaczęli rozganiać i grozić nahajką.

Jeden zbliżył się do Oryla i uderzył go batem. Jędrzéj jedném poruszeniem schwycił za piersi kozaka i rzucił o ziemię, lecz około siebie ujrzał pięciu innych; — z ostatniém wysileniem rozpaczy rzucił się raz jeszcze, lecz kilka silnych razów odebranych w głowę, osłabiło go do reszty.

— Związać tego sukinsyna, — wrzasnął oficer — i wpakować zaraz na wóz.

W parę minut na prostym wozie siedzieli obok siebie związany Władysław i Oryl, obok nich dwóch żandarmów, przy wozie jechali kozacy. Kiedy ta cała kalwakata omijając z obawy wieś, zbliżyła się do traktu, wiejska dziewczyna rzuciła się na wóz z płaczem i łkaniem, dopiero odepchnięta przez kozaka, upadła na wznak skrwawiona. Oryl na ten widok wstrząsnął się cały, zapomniał, że mu powrozy krępowały ręce. Władysław nie odrywał oczu od okien dworu, który powoli niknął w oddali, niedługo już tylko wieża czerniała kościelna, nareszcie znikło zupełnie miejsce, którego obaj więźniowie nie mieli już nigdy oglądać, bo jeden poszedł w rekruty — drugi do kopalni.

Testament Hugona Kołłątaja.

Oświadczenie wyraźne i rozmyślne ostatniéj woli mojéj.

Zważając, że zdrowie moje pogorszające się nieustannie, ostrzega mnie coraz widoczniéj o zbliżającym się ostatecznym końcu, do którego każdy żyjący od momentu swego urodzenia dąży i któremu prędzéj lub późniéj uledz musi; mam za powinność, zostawić na piśmie wyraźne oświadczenie ostatniéj woli mojéj, nim nastąpią momenta odejmujące mi przytomność i zdolność, któréj wymaga akt tak uroczysty; gdy człowiek używa ostatni raz dobrodziejstwa woli własnéj, na któréj dopełnienie po jego śmierci ręczą mu prawo święte i święte społeczności związki.

Oswojony z widokami śmierci, skazany w całém życiu na cierpienie bez przerwy, koniec, do którego się gotuję, uważam za największe dobrodziejstwo, które Opatrzność zapewniła wszystkim czującym jestestwom. Grób, otwierający się przed mojemi oczyma, nietylko mnie nie przestrasza, ale owszem napełnia radością. Wytrzymałem tyle ucisków, jednym zawsze i nigdy niezachwianym umysłem przeżyłem wszystkie przyjemności, które mnie jeszcze przywięzywać mogły do życia tylu goryczami napełnionego.... Grób więc stał się dla mnie pożądanym! — Spieszę do tego domu wieczności, gdzie wolny od niesprawiedliwości i niewdzięczności ludzkiéj, odpocznę na zawsze. — Sumienie cieszy mnie widokami dobrze odbytéj przeszłości. — Sprawiedliwość wieczna, która rządzi powszechnym rzeczy porządkiem, nie przestrasza mię złą przyszłością. — Jéj oddałem sprawę moją, jéj ufać nie przestanę aż do ostatniego tchnienia! — Świat mnie prześladował, opuszczam go więc z radością; sprawiedliwość wieczna nie odstępowała mnie nigdy, od niéj doznawałem pomocy w najtrudniejszych życia mojego chwilach; ona pokrzepiała nieraz upadający mój umysł — spieszę do niéj, z nią jak najrychléj złączyć się pragnę. — Chociaż obowiązki religii łączą człowieka prosto z samym tylko Bogiem, i niepodlegają żadnym względom ludzkim, gdy atoli zwyczaj mieć chce, ażeby każdy, gotujący się w drogę wieczności, oświadczył swoje w téj mierze przekonanie, a złośliwa potwarz wystawiała mnie tylekrotnie w oczach świata za obojętnego lub targajacego te święte obowiązki, przeto oświadczam najuroczyściéj, że w téj wierze, w któréj byłem urodzony i wychowany, żyłem i pragnę umierać; że do utrzymania jéj czystości przykładałem się rzetelnie, że wszystkie w téj mierze dysputy i wątpliwości uważałem za próżne, za szkodliwe towarzyskiéj spokojności. — Ta wiara nie była nigdy ciężarem dla mego rozumu, dochowałem jéj nieoziębłe wśród filozofii i czystych moralności prawideł.... Na dowód czego, zaczynając pisać ten testament, powtórzyłem wyznanie wiary katolickiéj co do słowa według przepisu Zboru Trydentskiego, abym dowiódł, że od zwyczaju ludzi stanu mego nie chciałem się oddalić przez żadną osobliwość. — Tak uczyniwszy zadosyć przyjętemu zwyczajowi, przekonanie moje zostawuję Bogu, któremu są znane wszystkie skrytości serca mojego. — Złośliwa potwarz, urągając wiernemu do ojczyzny mojéj przywiązaniu, wystawiła mnie w oczach mocarstw sąsiedzkich jak człowieka zapalonego nowościami szkodliwemi związkom społecznym! — Więziono mnie przez lat 8 z tych jedynie pozorów, że potwarzom podobało się, nazwać mnie Jakóbinem! Opatrzność wszelako dała mi przeżyć i to okrucieństwo. — Nie potrzebuję na nowo usprawiedliwiać się przed powszechnością z moich prawideł politycznych. Kto szuka prawdy nie potwarzy, znajdzie ją w tylu dziełach, które wydałem; szczególniéj zaś w moich listach do Stanisława Małachowskiego — w odpowiedzi Sewerynowi Rzewuskiemu na jego pismą o Sukcessyi Tronu w ostatniéj przestrodze dla Polski. Znajdzie mówię w dziele wydaném przezemnie pod tyt. Prawo poli–

tyczne czyli projekt do nowéj konstytucyi rządu i w saméj konstytucyi dnia 3. Maja 1791. ogłoszonéj, około któréj z najżyczliwszymi ojczyznie wspólnie pracowałem. Ale Opatrzność chciała jak widzę wystawić mnie za przykład, aby zawstydziła zemstę i potwarz. Pogrzebany w więzieniu za wierne do mojéj ojczyzny przywiązanie, wyszedłem wolny po tylu latach na wstawienie się tegoż samego mocarstwa, które niedawno zguby mojéj pragnęło. Zstępując więc do grobu, oświadczam przed Bogiem i całym światem, że moje zasady i postępowania polityczne niemiały nigdy zamiaru szkodzić sąsiedzkim mocarstwom, lub wprowadzać szkodliwe nowości. Pragnąłem tylko wydźwignąć moj naród z anarchii i nieładu, dać mu konstytucyą stałą, zabezpieczyć jego trwałość przez sukcesyą tronu!... Te to są moje grzechy polityczne, z nich wypłynęło źródło prześladowania, które mnie do kalectwa i nędzy przywiodło! — Ręce moje nie splamiły się nigdy zemstą osobistą; o zemstę publiczną nie obwinia mnie sumienie. — Wie Bóg, wiedzą i ci, którzy należeli do ostatecznego ratunku Polski, że wszelkie porywczości zapalonych umysłów naganiałem, i ile się dało, tłumiłem — że wypadki rewolucyjne, które przytrafiły się w r. 1794. w Warszawie, przypisać jedynie należy niezgrabności dwóch ludzi, zatrudnionych pod ów czas bezpieczeństwem tego miasta, z których jeden sprawował obowiązki komendanta, drugi prezydenta. — Pocieszony świadectwem własnego sumienia, daruję z serca wszystkim moim potwarcom i prześladowcom: daruję Sewerynowi Rzewuskiemu, byłemu hetmanowi polnemu; daruję Trębickiemu i Telatyckiemu, daruję Alexandrowi Linowskiemu, który mnie nieludzko skrzywdził, choć mu w całém życiu mojém nieuchybiłem, owszem rzetelnie go poważałem: — daruję Thugutowi; innych nawet nie wspomnę i przebaczam im tém rzetelniej, im widoczniéj dostrzegłem wyraźnych nademną Opatrzności rządów; chciała ona zostawić przykład na mojéj osobie, że złość ludzka posunięta do najwyższego stopnia zemsty i potwarzy, nie zdoła nigdy przemienić wyroków nieba. — To nawet przebaczenie nie wiele kosztuje ofiar sercu memu, oddawna o tych ludziach zapomniałem i ich potwarzami wzgardziłem; był czas, kiedy ubolewałem nad ich błędami, lecz nigdy nie trapiłem się ich złością! — nie zdołali ani na moment zamieszać spokojności duszy mojéj, bo w postępowaniach moralnych nigdy nie oglądałem się na opinią ludzi. Czyniłem dobrze ile mogłem, nie żebym się ludziom podobał, lecz żebym zbliżył ich dobro i dał im poznać prawdę, bez któréj błądzić muszą. — Prawda odemnie przedstawiana, nieprowadziła do żadnéj nowości, wracała owszem do odwiecznego porządku, który ich ojców niegdyś uszczęśliwiał. — Darowawszy zaś z serca wszystkim złośliwym, niemogę przemilczeć wdzięczności dla dusz wielkich i dobroczynnych, których samo wspomnienie pociesza uciśnioną ludzkość; — wdzięczność tę niosę z sobą do grobu! — Ośmielam się naprzód wynurzyć wdzięczności obowiązki wielkomyślnemu wybawicielowi memu Alexandrowi I., Imperatorowi wszech Rossyi, który mnie z niewoli austryackiéj oswobodził, do kraju swego łaskawie przyjął i o powrócenie majątku mego pod swą wielowładną opieką u dworu wiedeńskiego czynić zalecił. — Jeżeli ten monarcha odstąpił potém od prawideł ludzkości i sprawiedliwości względem mnie, był to skutek kabały złośliwych, która go pozbawiła téj sławy, jakąby był uzyskał, gdyby się był prawideł trzymał, gdyby był skołatanego tylu uciskami zdrowia w r. 1807. nie starał się pogorszyć przez wywiezienie mnie do miasta Moskwy, w porze roku zdrowiu memu najprzeciwniejszéj, to jednak niesprawiedliwości nie jego sercu, lecz radom złośliwych rodaków moich przypisuję. — Powtarzam tę samą wdzięczność księciu Adamowi Czartoryskiemu, naówczas ministrowi spraw zagranicznych najsprawiedliwiéj odemnie należną za to, że z pobudek, które mu cnota jedynie natchnąć mogła, przyłożył się skutecznie do mego oswobodzenia! — Należy się odemnie podobna wdzięczność niewielkiéj liczbie ludzi, którzy powróconemu z niewoli do społeczności żyjących, dochowali niezmiennéj i niczém nienaruszonéj przyjaźni. Niech więc odbiorą najczulsze moje podziękowanie za tyle świadczonych mi dobrodziejstw, któremi nędzę moją osłodzić i wspierać raczyli! — Podziękowanie to nie jest tylko zimnym względem nich obrządkiem; w momencie albowiem, kiedy mi przychodzi rozstać się z nimi na zawsze, czuję ciążący na sercu mojém wzajemności obowiązek, z którego wypłacić się nie jestem zdolny; wyrazy moje muszą zastąpić najżywsze uczucia i być świadkami téj wdzięczności, która ze mną zstąpi do grobu. — Żegnam ich wśród najczulszego podziękowania za dochowaną mi przyjaźń, za świadczone dobrodziejstwa JWW. Czeciszewskiego biskupa łuckiego, Gawrońskiego biskupa krakowskiego, Tadeusza Czackiego, Ludwika Barona Strasser, Michała Denyżkę podkomorzego dubieńskiego, Józefa Drzewieckiego, Wojciecha Piotrowskiego, Jana Śniadeckiego, Xawerego Wasilewskiego, Tomasza Maruszewskiego, Franciszka Dmochowskiego, Antoniego Sadowskiego, Antoniego Jarkowskiego, Jana i Eustachego Kołłątajów, Michała Szymańskiego. — Żegnam i wyznaję, że jedni wspierali moją nędzę, drudzy dali mi przytulenie w swych domach, inni dopomagali w wieloraki sposób. — Dobroć tych szanownych ludzi wycisnęła mi nieraz łzy

które tylko prawdziwa cnota cenić umie: a kiedy mi przychodzi umierać pierwéj, nimby się im wywdzięczyć zdołał, skrapiam raz jeszcze łzami wdzięczności, to ostatnie z niemi pożegnanie. — Jeszcze też same obowiązki solennie należą się trzem damom, JW. z Dębińskich Czackiéj, JW. z Pruszyńskich Wąsowiczowéj, W. z Błędowskich Skibickiéj.

Jest zgoła moją powinnością oświadczyć najrzetelniejsze pożegnanie wszystkim cnotliwym ludziom, którzy mnie zaszczycali dobrocią swego serca, osładzali stan mój nędzny, okazując politowanie bez poniżenia. Jeżeli ich wymienić nie śmiem, żebym ich nieobraził otwartém wdzięczności wynurzeniem, darują, że ich nie wymienię, żeby nie zdawało się, że tylko wymienionym zostawuję moje najczulsze pożegnanie. Wszystkim atoli dochowuję najświętobliwiéj winne wdzięczności obowiązki. — Żegnam także dobrych sług moich, dziękuję im, że moje kalectwo i stan nędzny znosili z rzadką przychylnością, że wyrozumiewali tylokrotnie memu humorowi niezliczonemi przykrościami obarczonemu, wybaczali częstemu naprzykrzeniu, wspierali mnie najwidoczniéj pracą i radą. Żałuję, że umieram w ubóstwie, które mi nie dozwala wywdzięczyć się dosyć za tyle dowodów ich przychylności; ile mi jednak możność teraźniejsza dozwala, obmyślam dla każdego nagrodę w osobném mojém urządzeniu, jak się z tego niżéj tłomaczę w kodycyllu trzecim o postanowieniu sukcessora mego majątku i exekutorów mego testamentu.

Ubóstwo, do którego mnie przywiodły smutne okoliczności ojczyzny, nietylko mi odjęło sposoby zaspokojenia pierwszych potrzeb pomnożonych przez wiek i kalectwo, ale nadto (co mnie jeszcze więcéj smuci) pozbawiło mnie wszelkich środków ratowania biedniejszych odemnie i wywdzięczenia się ludziom cnotliwym, którzy mnie w stanie nędzy swą dobroczynnością wspierali! — Tak się podobało Opatrzności, nie sarkałem na Jéj wyroki, uważałem je owszem jak widoczne dobro; było to gorzkie, lecz skuteczne lekarstwo, które pomogło do okazania przed światem mojéj niewinności! — Gdybym po upadku ojczyzny znalazł się był w stanie obfitości i bogactw, potomność wątpiłaby o moich postępkach i słusznie miałaby mnie za obłudnika. — Samo tylko ubóstwo usprawiedliwić mnie przed nią potrafi! — Stan nędzy, w którym mnie śmierć zastaje, najwidoczniéj każdego przekona, jak złośliwie mnie potwarzano, rozgłaszając, że miliony publiczne ukryłem, że w momencie zguby ojczyzny o sobie nie zapomniałem!.... Przeminęła scena nieszczęśliwości publicznéj i mojéj, śmierć moja dopełnia ostatniéj karty dziejów moich, nienawiść i potwarz niema więcéj potrzeby krzywdzić moich popiołów: a jeżeli prawda niebyła dotąd wszystkim znana, stanie ona teraz na moim grobie i dowiedzie, że niemam, cobym mógł nazwać mojém, prócz majątku, który mi rząd austryacki w czasie mojéj niewoli zabrał i który dotąd zatrzymuje. — Lubo Król JMść Saski, pan sprawiedliwy, raczył przyjąć w téj mierze prośby moje o powrócenie tego majątku, że jednak prawidła które obrał, przeszkadzały mu aby poznał prawdę, którą przed nim jego ministrowie ukryli i w błąd go wprowadzili; przeto sprawiedliwość jego względem mnie stała się bezskuteczną, a moje do jego osoby przywiązanie na zimną zasłużyło obojętność. Zapomniał ten monarcha czém byłem niegdyś względem niego i względem mojéj ojczyzny: wystawił mnie na zazdrość swych niecnych ministrów, a tak stracił na świadectwie, które mu oddać miała potomność! Mimo jednak tego, dopełniam obowiązku, jaki się odemnie należy moim sukcessorom, którzy w tym wieku niesprawiedliwości przestać muszą, że będą dziedzicami mojéj niewinności, mego poświęcenia się ojczyznie. Dziedzicami zaś mego majątku zostawiam moich kredytorów! Wszystko to dopełniam po dobréj rozwadze stanu mego majątku i moich długów; dopełniam mówię w najlepszéj wierze, że mi dwór wiedeński uczyni sprawiedliwość i całą należytość przez tyle lat zatrzymaną wiernie powróci. (Następuje rozporządzenie w szczegółach. Między legatami następujący jest: JW. Stan. Potockiemu ofiaruję obrazy, które sobie sam zabrał, podczas mojéj niewoli etc.

Karmel i zakonnik.

Kiedy pielgrzym pośpiesza od Nazaretu śród gór galilejskich ku morzu, które brzegi jego dalekiéj ojczyzny obmywa, zdumiewa go nagle widok spaniałéj góry, słynnéj z zamierzchłych czasów imieniem proroka Eliasza. Karmel leży przed nim i osłania na kilka mil wzgórzami zarosłemi widnokrąg, aż swoje stopy skaliste myje w nurtach śródziemnego morza. Tu Karmel, mimo przepaścistéj swéj ściany, wita zbliżającego się pielgrzyma gościnném pozdrowieniem. Na stoczystości wzniesionéj nad morze na sześćset stóp znajduje się piękny klasztor i zaprasza w swą gościnę po drodze wygodnie zbudowanéj.

Już z dala obudza klasztor nadzieje, ale przewyższa jeszcze wszelkie oczekiwania, kiedy weń wstą-

pisz. Jest on koroną wszystkich klasztorów na wschodzie. Skoro wnijdziemy na drugie piętro sali i przeglądamy przestrzenie przybocznych pokoi gościnnych, zapominamy po pierwszy raz kraje wschodu i oddalenie od wygód naszej ojczyzny. Zdaje nam się, iż bawimy w ucywilizowanéj Europie. Tak czysto, tak chędogo, tak uroczo wszystko tam jest urządzone. Bardziéj na siebie uwagę zwracają białe łoża, aniżeli porozstawiane zwierciadła i sofy. A jako szczegół, tak jest i ogół czarujący. Kościół, ogród, kuchnia, wiatrak, a nadewszystko apteka opatrzona we wszystkie bogactwa lekarstw wytłaczanych ze ziół zbieranych na górze Karmel.

Z kąd to się wszystko zjawiło? Kto pamięta, iż przed dwudziestu laty na górze Karmel tylko kilka smutnych ruin sterczało, które nienawistny basza Abdalah w powietrze wysadzić kazał, ten zapewne uczyni to pytanie. Zakonnik Fra Giovanni Battista najlepiéj na nie odpowie. Klasztor na Karmelu on zbudował. Przybył na tę górę z dalekich stron i przyniósł ze sobą tylko zapał, lecz zapał silny, niczém niezachwiany.

W roku 1819 pierwszy raz Giovanni Battista zwiedził z Rzymu górę Karmel z polecenia swojego zakonu. W ówczas znalazł w smutnych rozwalinach klasztoru zamiast zakonników szkielety francuzkich żołnierzy. Duch ówczasowy Turków osiedlonych w sąsiedztwie, tyrania ich baszów w czasie wybuchu wojny Greków o niepodległość i wolność swojéj ojczyzny niedozwoliły mu myśleć o odbudowaniu klasztoru. Lecz widok świętéj góry, która nadała nazwę jego zakonowi, tak opuszczonéj i spustoszałéj, przeraził boleścią nieukojoną duszę jego. Wrócił do wschodnich krajów po upływie lat siedmiu w pomyślniejszéj godzinie. Z Konstantynopola przywiózł ferman dozwalający mu budowania nowego klasztoru. Giovanni Battista jest budowniczym; układa niebawem plan budowy, kosztorys wynosi 100,000 talarów. Lecz zkąd środki do ich zebrania? Klasztor nie dostaje tych bogatych podarunków, które grób święty odbiera; rzymska kurya także mu niczego nie jest w stanie udzielić. Giovanni Battista przebiega brzegi Azyi i Afryki, a nareszcie przechodzi Europę. Idzie do książąt i do chat wieśniaków. Żebrze u katolików, i niekatolików, własną ręką zanosi zebrane ofiary pobożnych szczodrobliwości na swoją górę, on je tam przerabia na mury. Tak powstał klasztor, dla pielgrzymów ze wszystkich krajów, chrześcian i niechrześcian orzeźwiający zakątek, dla cierpiących z okolicy mieszkańców przychylny przytułek, ku pamiątce wielkiego proroka uroczysta świątnica.

Dzieło to wielkie zjednało w całéj Europie miłość i przychylność dla dzielnego zakonnika. O pięćdziesiąt kroków od klasztoru stoją stare mury, darowane przez Ibrahima baszę Karmelitanom. Tu ma być drugi gmach klasztorny zbudowany, poświęcony celom ludzkości cierpiącéj, szczególniéj chorym. Zarazem ma być kościół i ten powstający budynek opasany murem obronnym. Chodzi tu o dokończenie dzieła, tak jak się w duszy zakonnika zawiązało.

Widziałem Karmel i stałem się bogatszym o jeden dzień niezatartéj pamięci. Tam dopiero oceniłem zasługi męża, który obudza w pielgrzymach ziemi świętéj najczulsze wspomnienia.

C. T.

ROZMAITOŚCI.

Słynny jeden francuzki aktor bawił przez czas niejaki w Petersburgu i nagle oddalił się z téj stolicy, chociaż miłość starała go się tam na dłużéj usidlić. Powiadano o nim, iż młoda dama bardzo posażna namiętnie się w nim pokochała. Aktor zaś tego był zdania, że jakokolwiek miłość jest słodka, Sybir jest jednak za zimny, Kaukaz za daleki, knut za twardy, a kopalnie uralskie za głębokie, przeto wolał zemknąć.

Jerzy Mantons pisze w drugim tomie swego dzieła o Włoszech co następuje: We Włoszech nieznają dzieci wiele zabaw niemieckich, w których biją się wzajemnie, n. p. pytki. Powód do tego leży w charakterze ludu. Wesoły Włoch brzydzi się bijatyką, jak niegodnym i dzikim czynem, obudzającym nieraz zemstę. Nawet dzieci wychowują tam bez bicia, nie ujrzysz u nich rózgi zatkniętej za zwierciadłem i dosyć wcześnie oswajają się z tą myślą, iż Chrześcijaninowi nieprzystoi bić drugich lub odbierać bicie. W Wenecyi nazywają bijatykę z ohydą Orzo tedesco, niemieckim jęczmieniem, a zwyczaj bicia jest jednym z tych, który Niemców i Słowian najwięcéj upośledza w oczach romańczyka.

— Zapytywanie przyszłości. — Z Regnum Papisticum Naogeorga opowiada Hanpson w chronologii swojéj (Londyn roku 1845.) iż dawnemi czasy starały się wiejskie dziewczęta dowiedzieć o nazwisku swych narzeczonych ze wzrostu i kształtu cebuli, którą posadzały blisko pieca; podobnie wyciągały na ślepo kijaszki z drwalni i z nich wnosiły o charakterze swych przyszłych mężów. —

Zresztą w Anglii badanie przyszłości nie ograniczało się na sam adwent. W Niemczech panuje wiara, iż w noc Św. Jędrzeja, Św. Tomasza, Bożego Narodzenia i Nowego Roku, posiada moc dziewczyna, zaproszenia swego przyszłego narzeczonego i przypatrzenia się jemu. Tak np. nakrywają w tym celu stół na dwie osoby, bez widelcy. Co narzeczony pozostawi, potrzeba pieczołowicie zachować; wróci według zdania tych dziewcząt do téj, która schowała rzecz zostawioną i kochać ją będzie namiętnie. Powinna jednak strzedz téj rzeczy przed jego oczyma, inaczéj przypomniałby sobie udręczenia, których doznał w owéj nocy, a to mogłoby za sobą złe skutki pociągnąć. Na potwierdzenie tego dodana jest następująca powiastka: „piękne jedno dziewczę w Austryi zapragnęło widzieć swego przyszłego i dla tego o północy wszystkie odbyło potrzebne przygotowania. Przybył do niéj w postaci szewca, z sztyletem w ręku, którym za nią rzucił i zniknął. Podniosła ten sztylet dziewczyna i schowała do swojéj skrzynki. Po niejakim czasie przyszedł rzeczony szewc do dziewczyny, starał się o jéj rękę i ożenił się z nią. W kilka lat po weselu poszła w niedzielę o wieczornéj porze do swéj izby i szukała czegoś w swéj skrzynce. Kiedy do niéj otworzyła, przyszedł jéj mąż i chciał do niéj wejrzeć; lecz żona wstrzymała go nagle. Zaostrzony ciekawością odepchnął ją na bok, rzucił okiem w skrzynkę i obaczył sztylet. Wydobył go natychmiast i pytał żony, jak dostał się do niéj, gdyż go przy nader dziwnéj okoliczności zgubił. Przestraszona niemiała tyle przytomności, aby się zdomódz na kłamstwo, powiedziała prawdę, iż sztylet zostawił w owéj nocy, kiedy go zmusiła do pokazania się u niéj. Wyznanie to tak dalece oburzyło szewca, iż wypowiadając okropne przekleństwo, zawołał: „toś ty mi w owéj nocy tak srogie zadała męczarnie!“ i pchnął ją w serce sztyletem.

MODY.

Paryż, dnia 13. Lutego 1846.

Na wszystkich balach i uroczystościach w ostatnim tygodniu, widzieliśmy bardzo wiele lekkich sukien i naturalnych kwiatów w bukietach na staniku i upiętych na powłokach z tulu lub krepy, a na głowie róże mszyste i kamelie z włoska ułożone, co stanowi najulubieńszy strój w ostatnich czasach.

Nawet falban z koronek złocistych i srebrnych mnóstwo się ukazało. Niektóre suknie z białego tulu orzucone były pięcioma falbanami rozmaitéj szerokości, zwężającemi się ku przepasce. Wszystkie były z tulu, obrzeżone złotem. Podobne suknie z różowego tulu miały borty srebrne na falbanach. Między innemi jedna suknia z białego atłasu ozdobioną była dwiema falbanami koronkowemi, na których podobnie brzeg był złocisty. Berta z dwóch pasków koronkowych równie była ozdobiona. We włosach miała dama tak ubrana girlandę z liścia, na łodydze złotéj.

W ogóle suknie są głęboko wycięte, z przodu krojem serca, rękawy bardzo krótkie i tak samo ugarnirowane jak powłoki, tylko w mniejszych rozmiarach.

W ubiorach na wyjście i wizyty przeznaczonych nie masz nic nowego, gdyż w téj chwili cała uwaga obróconą jest na stroje wieczorne. Szlafroczki osadzają teraz daleko więcéj guzikami, aniżeli dawniéj, i z każdym dniem się powiększają. Stal i markasity, rznięte kształtem diamentów, najwięcéj się podobają. Dodają także podobne łańcuszki, które od stanika z góry do dołu, aż do brzegu sukni sięgają.

Jedwabne suknie zdobią nieskręcanemi frędzlami, burtami plecionemi lub wytłaczanym aksamitem. Częściéj jeszcze aniżeli falban używają czarnych koronek, nad któremi oszywają jeden lub dwa paski z czarnego aksamitu.

Dla mężczyzn. Fraki na wieczory mają krótkie i okrągłe poły. Guziki u stanu są szeroko umieszczone, a kołnierze cokolwiek okrągłe.

Inne nowe fraki są przezwane brummel. Są jasno granatowe, a na piersiach szeroko roztworzone. Cztery guziki je zapinają i są z metalu robione. Rękawy bez wyłogów, obszerne poły, a kołnierz z aksamitu szeroko wywinięty.

Wierzchnie surduty i palletoty są bardzo obszerne, z sukna zielonego, czarnego lub granatowego.

Opończe płaszczowe robią zazwyczaj z czarnego sukna, oszywają pasamonami z podszewką z białego lub czarnego atłasu.

Pantalony są w modzie bez podpinek, a zamiast bótów noszą molieroskie trzewiki. Jest to wygodne na błoto obuwie.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz atłasowy, ozdobiony kwiatami. Wizytka aksamitna, osuta koronkami. Suknia jedwabna.
2. Kapelusz atłasowy. Wizytka z rękawami, orzucona koronkami. Suknia pekinowa.
3. Frak sukienny. Biały krawat. Kamizelka pikowa. Pantalony sukienne.

Redaktor *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*